

Józef Ignacy Kraszewski

**CZERCZA
MOGIŁA**

Józef Ignacy Kraszewski

Czercza mogiła

Wersja demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2020

Józef Ignacy Kraszewski
„Czercza mogiła”

Copyright © by Józef Ignacy Kraszewski, 1947
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
2020

**Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.**

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

**ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.**

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Państwowe Zakłady Graficzne Nr. 2, Wrocław
Wydawnictwo: Wydawnictwo Wł. Bąka, Łódź –
Wrocław, 1947

ISBN: 978-83-8119-755-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

I.

Bylibyśmy niesprawiedliwi względem kraju naszego, gdybyśmy mu zarzucać chcieli z cudzoziemcami brak różnorodności i jednostajność widoków; nie ma może bogatszej pod tym względem ziemi. Okolice Krakowa, podnóża Karpat, Sandomierskie, Mazowsze, Podlasie, Galicja, Poznańskie, Żmudź, Wołyń, Podole mają każde odrębną i silnie nacechowaną fizjognomię. Jest zapewne coś, co w wielką całość łączy rozpięzchłe rysy i daje im harmonijny koloryt; ale wpatrzywszy się tylko, co to tu szczegółów, ile barw rozmaitych i w swej prostocie tak pięknych! Nie mieniałbym tej ziemi, mglistem niebem pokrytej, borami odwiecznymi szumiącej, na najwspanialsze, najślawniejsze ziemice, których piękności poszły w przysłowie. Byle oczy, byle serce, byle uczucia trochę, a rajem ten śliczny światek. Wprawdzie i Lapończyk, jak mówią, kocha się w mchach swoich i kraju ze skał i topielisk złożonym, ale czyż i ten smętny ziemi kątek nie ma także piękności swojej? Bóg stwarzając ziemię, na wielkim jej, różnolitym obrazie odmalował różne strony, różne rodzaje piękna, dał wzory wszelkiego wdzięku, wszelkiego sposobu, w jaki natura myśl Jego wykazać może; a przy każdym z tych widnokręgów odmiennych postawił człowieka, do którego duszy ta piękność przypada, który ją najlepiej rozumie i najlepiej ukochać może. I dlatego nie zazdroszczę wcale Neapolitańczykom ich zatoki, ani Szwajcarom gór ich, ani Niemcom i Francuzom Renu, o który się kłóca... dość mi tego na co patrzę... W tym złamku również odbija się

myśl Boża, jak w wodach Orenoki, jak w falach Renu i płomienistych snopach podbiegunowej Zorzy.

Uznaję chętnie wszelką piękność, ale gdyby mnie kto przeniósł na zawsze z ziemi, do której tak przyrosłem sercem i duszą, o! umarłbym z tęsknicy za sosnami, za szarem niebem i lasem naszym zielonym.

A szczególnie za lasami. Bo według mnie nic piękniejszego nad lasy, gdzie brak drzewa: wody, skały, niebo, słońce, nic go nie zastąpi. I okolice, w których nie ma nic do widzenia oprócz borów i lasów, jeszcze są weselsze od najnieprzejrzystszej, wonnego stepu, po którym tęsknota chodzi jak po wielkim smętarzysku. Drzewa tylko że nie mówią, ale co w nich myśli! ile wdzięku! jaka rozmaitość barw, woni, fizjognomii! jakie w nich życie! Nigdy mi się nie uprzykrzyło jechać nimi choćby dni kilka ciągle, jak to się w Litwie zdarza; ale gdy raz stepem besarabskim półtora tylko dnia przewędrowałem na skwarnem słońcu, na całe życie miałem tego dosyć.

Litwa, to jeszcze kraj, na którym znać, że dopiero w XIV wieku wcieliła się do mocarstw europejskich, i najpóźniej przeżegnała się krzyżem świętym. Co krok spotykasz pamiątki, z których zdać sobie sprawy inaczej jak sięgając myślą w czasy przedchrześcijańskie, nie można. Wieje zewsząd jakaś woń prostoty na pół dzikiej, na pół patriarchalnej, którą odetchnąć po zadusze naszej miło. A przytem kraj to ze swemi lasami, jeziorami, piaskami, rozsypanym pod nogami kamieniem, ze swemi jałowcami i jodłami, dziwnie poetyczny i piękny, do którego się można przywiązać, za którym tęsknić łatwo

życie całe. Któż, raz choć w życiu przejechawszy białowieską puszcę, popatrzywszy na brzegi Niemnowe, podumawszy nad jeziorami, nasłuchawszy się gwaru lasów jodłowych, nie ujrzał ich później natrętnie mu się przypominających w snach i marzeniach?

Kraj to ubożuchny i lud dość by powinien być ubogi, bo na półku na wpół piaszczystem sieje hreczkę po życie, a żyto po hreczce, ledwie śmiejąc jałową skibę przewrócić, żeby się do szczercu^[1] nie dobrać, a przecież dzięki pracowitości swojej, dzięki pomocniczym środkom i przemysłowi, choć rola nie rodzi, chłopek rzadko doświadcza głodu. W okolicach wydmiastych i całkiem nieurodzajnych, woda i lasy dostarczają materiałów do pracy i zarobkowania; a tam, gdzie coś zrobić można, Litwin tak uprawia, przewraca, gnoi, okopuje, osusza, że mu urodzić musi.

Aż miło wjechać do wioski, tak w każdej wyczytasz zaraz, że tu pracowite i pobożne mieszka plemię. Nigdzie tyle krzyżów, tyle kalwaryj i męk pańskich nie ma co na Litwie, nigdzie tyle u źródeł kapliczek i figur na rozstajach. A krzyże te mają fizjognomję właściwą, ze swemi daszkami, przykrywkami i mnóstwem płacht, fartuszków, chustek, wstążek, paciorek, któremi je obwiesza pobożność. Nieraz w pośrodku wioseczki zobaczysz stos ułożonych kamieni polnych w jakąś systematyczną, piramidalną figurę, a na ich wierzchu wetknięty krzyż żelazny, a zasadzone drzewa ocieniające ten wiejski pomnik, któremu biała brzoza, stary jałowiec i jodła tyle dodają wdzięku, że żywcem się na rysunek proszą. Oprócz tego na każdym dachu wyszył wieśniak

słomą krzyż pański, nad każdym oknem jest godło zbawienia, jakby się jeszcze bali Litwini, żeby do nich dawne bogi nie powróciły ukradkiem.

Przebywszy cudowną wzniosłością drzew swych Białowieską puszcę, która nie ma równej sobie w kraju całym, zmierzając ku Pińskowi, przebywa się dość smutną i mało komu znaną część Rusi litewskiej. Jest to płaszczyna żyzna miejscami, przecięta mnóstwem rzeczulek, bagien, trzęsawisk, wydm porośłych jałowcem i tą białawą trawą, która tylko na piaskach rosnać lubi, uweselona laskami brzoź białych lub borkami z sosen wysmukłych, podszytych gdzieś gdzieś leszczyną. Na tej równinie, którą zewsząd zamykają lasy, gaje i borów ściany, tu i ówdzie poziome chaty długim szeregiem wyciągnięte, rzadko bielone, wyniosłe krzyże, szare kościołki wiejskie i młyny wietrzne, kiedy niekiedy dwór pokaźniejszy wstrzymuje rozbujałe oko. — Drogi po większej części składają się z grobel, bo tu bez rowu żadne się pole nie obejdzie, a grobelki zwłaszcza po wioskach, dadzą się podróżnemu we znaki. Pełno kamieni po polach, a że z nimi i z błotem nie wiedzieć co począć, zarzucają głazami temi kałuże i doły, niekiedy wyścielają całe długie kawałki wąskich drożyn, tak, że gdy przyjdzie przejeżdżać tego rodzaju budowę pierwotną, kości i powóz popamiętają. Kamienne owe grobelki są pomysłem ludzi, którzy całe życie chodzą piechotą, o tem wątpić nie można. Ale za to cóż to za śliczna rzecz kamienne płyty, którymi każda chata, podwórko i ogródek się zagradza! Kamień litewski nie jest to martwa, kantowata bryła, którą ręka ludzka świeżo odbiła

z pokładu odwiecznego, nadając jej kształt ułamkowy, nieforemny, rażący ostrością rysów. Każdy z nich tak jak jest, długie już przebył wieki, oszlifowały go wody potopu, pokryły go piękne mchy i porosty, a traf nadał mu postać często fantastycznie piękną. Niezmierna też jest rozmaitość kolorów tych brył kamiennych, czarniawych, sinawych, czerwonych, białych, żółtych, tak, że gdy z nich ułoży chłopiec płot, który okryją liście powojów, dyni, perestupów i chmielów, nic nad tę mozaikę barw widzieć nie można piękniejszego. W pośród otaczającej ją zieleni, grodzba ta niezmiernie odbija się malowniczo. Mnóstwo także kamieni różnych wielkości, użytych na progi chat, za słupy do bram, na siedzenia wśród drogi, zwracają oko rozmaitością kształtów i kolorytu.

Wśród wiosek w ten sposób poogradzanych, pełnych brzoź i jodeł, wiedzie cię droga, którą przebywasz to gaje wesole, to długie błota, ożywione ptastwem bez liku. Trzęsawiska te byłyby niezmiernie smutne, gdyby im Bóg nie dał licznych mieszkańców i nagradzając brak piękności, nie kazał śpiewać na nich tysiącom stworzeń, co się gnieźdzą wśród kęp, wysepek, trzcin, sitowiów i osoki. Bąki, czajki, ogromne stada kaczek i zabawne owe bataljony^[2], z których każdy jest inny i każdy co chwila do boju gotowy — przelatują nad głową, a wieczorem odzywają się dziwnymi głosami, jak strażnicy tych rozległych przestrzeni, które są ich królestwem. Czasem z milę ciągnie ci się grobla pełna mostków i dziur pełna, przez te błota nieskończone, a gdyś ją przebył, najlichsza karczemka stanie za najwygodniejszą gospodę. Tu znowu brniesz w piasku, ale

bylebyś trochę kochał naturę i lubił się w nią wypatrywać, nie utrudzą cię one, bo i na nich są rośliny, są mieszkańcy, są ślady dziejów i ludzi. Nieraz z na w pół rozwianej mogiły naga kość cię przywita, lub rozbity kawał popielnicy stare czasy przypomni.

Właśnie tego rodzaju drogami zbliżałem się ku Pińskowi w roku 183... wpatrując się z ciekawością w kraj, który zmieniał się powoli i przybierał coraz nowe odznaczające go rysy, gdy na najszkaradniejszej z długich owych grobel mostek się pode mną załamał, konie mi pozapadały, powóz się popsuł, a ja w skwarny dzień biały osiadłem na tym pustkowiu bez ratunku. Potrzeba mi było samemu ze służącym wyciągać moją telegę, wyprzęgać poplątane konie i wydobywszy się z jamy, powoli na drażu wlec do karczmy. Kląłem też na czem świat stoi i rozrzuciwszy do szczytu zdradliwy mostek, pod którego belkami leży się mnogie węże, poszedłem przodem pieszo ku gospodarzowi, nie przypatrując się już nawet krajobrazowi, choć wkrótce zarośla z olch malowniczych otaczać mnie poczęły zieloną ścianą gałęzi... Szedłem tak zadumany grobelką, gdy —

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — dało mi się słyszeć nagle i niemal mnie przestraszyło, takim się głosu ludzkiego na tej pustyni nie spodziewałem.

Obejrzałem się dość zniecierpliwiony.

Na ścieżynce z drugiej strony grobli stał obrócony, w tęż co ja idący drogę żebrak, z łysą, obnażoną głową, trzymając słomiany kapelusz w ręku. Dziwna to była figura, niby coś na szlachcica i na dworaka zakrawająca, ale w wieśniaczym ubraniu. Twarz już nie młoda, poorana zmarszczkami pełnymi uśmiechu, z okiem siwym, z usty

szerokimi, nosem nieco zadartym, brodą rzadko zarastającą i jasną, jeszcze nie posiwiąłą, dość była miła i sympatyczna. Na policzkach jej kraśniało zdrowie, a fałdy ust i oczów dowodziły, że dziadek więcej zwykł był śmiać się niż płakać. Chociaż mógł mieć z górą lat pięćdziesiąt a może więcej, na wypętlonej głowie, na brodzie i wąsach nie widać było jeszcze ani jednego srebrnego włoska, a trzymał się prosto i krzepko i kij więcej mu służył do odpędzenia psów, niżeli nogom za podporę. Stojem zbliżał się do strojów z okolic Pińska; miał bowiem na nogach chodaki długie, po kolana rzemieniem i sznurkami obciśnięte, sierak brunatny, kapelusz życzką przewiązany i nie pierwszy już rok widać służący, przez plecy torbę skórzaną, a u pasa cały przyrząd, złożony z kaletki nabijanej guzami, kozika i krzesiwa. Zaczepiwszy mnie chrześcijańskim pozdrowieniem poglądał uśmiechając się, i powoli szedł za mną, oczekując widocznie rozmowy, której zdawał się pragnąć.

— Gorąco, jak toj kazau (jak ten powiadał, przysłowie w Rusi litewskiej u ludu pospolite) gorąco — odezwał się ocierając pot z czoła — a panoczek z daleka to, na piechotę się tak wybrał?

— Piechotą, ale nie z ochotą — odpowiedziałem — wasze to pocziwe mostki winne, że się piec muszę i dziś w ...oczach nie stanę.

— Ot jest, jak toj kazau! — zawołał żebrak — to pewnie koło węzowego ruczaju na mostku, podle Sroczej wierzby łamać się pan musiał.

— Kto go wie jak się tam wasz ruczaj nazywa — burknąłem — ale niech go razem z wierzbą wszyscy djabli wezmą...

— Niech biorą — odparł stary wesoło — ja nie przeszkadzam, niech biorą... a i w powozie pewnie się co ułamało?

— Jak byś tam był — rzekłem — a tu nie wiem czy gdzie kowala słyszeć i kędy go szukać.

— Bardzo niedaleko i dobry majster, ot za groblą tylko co nie widać, karczemka, a przy niej kuźnia. Prawda, że kowal żyd Majoroko, ale zna swoją rzecz.

— A tyś bracie tutejszy? — zapytałem weselszy, dowiedziawszy się o kowalu.

— Ja panoczku, jak toj kazau, od świata, tutejszy i nietutejszy — odpowiedział powoli dobywając różka z tabaką i długi niuch biorąc dziadek. — Włóczę się siędy i tędy a niby to z tej jestem okolicy, ale...

I urwał nagle; ja nie pytałem więcej.

Szliśmy tak groblą między olchami dobry kawałek drogi; wreszcie zawróciła się i zza drzew ujrzałem na piasku siedzące nad jeziorem sioło czarne, z wielkimi kilką krzyżami i karczmą drewnianą, przy której okiem szukałem zaraz kuźni.

Widok acz smętny, zwyczajny, płaski, nie był bez wdzięku; ogromne olchy ponad wodą, pomieszane z wierzbami, kościółek otoczony lipami starymi, poziome chatki, nawet karczmisko ogromne, składały się na krajobraz malowniczy. Tuż przy gospodzie kuzienka z dylów, darnią pokryta, mile mi się uśmiechnęła; żebrak

pośpieszył przodem szukać Majorka, na którym spoczywały całe moje nadzieje. Ja tymczasem usiadłem na obalonym pniaku pod olchą i spoczywając przypatrywałem się trzodzie pasącej nad brzegiem jeziora, której pastuch przygrywał na ligawce. Ligawka jest to ogromna trąba prosta z sosnowych wystrugana deszczulek, obręczami zbita, smołą wylana, której miły i donośny głos rozlega się po siołach litewskich. Kilka nót składają całą jej skalę, ale dźwięk ma w oddaleniu smętny, rzewny i zastosowany do kraju, w którym brzmieć zwykła. Ligawka, na której grał chłopak, większa była daleko od niego.

Krążąc oczyma po okolicy, nim mój poseł powrócił od Majorka, na uboczu pod gajem spostrzegłem dwór, ale na pierwszy rzut oka zastanowił mnie, wydając się całkiem pusty... Cztery okna jego czarne, głębokie, jak doły w trupiej czaszce wyglądały... Płoty były poobalane, na budowlach dachy składały się z resztek krokwi i łąt porwanych... a droga, która wiodła doń brzegami jeziora, całkiem była trawą zarosła. Stało jeszcze w miejscu wszystko, co dwór składało, rozeznać mogłem dom mieszkalny, stajnie, obory, sernik, spichlerz, ale nigdzie nie było śladu życia.

Nie rzadko u nas spotyka się podobne nieładem zniszczone wioski, ale całkowitej pustki trudno zobaczyć, i ta mnie też mocno zastanowiła. Smutek wiał od tego starego dworca, w którym niegdyś mieszkało wesele i dostatek, opuszczonego tak przez ludzi i rzuconego na łup bezbronny wichrom, słocie i niszczącej sile przyrody,

która przerabia natychmiast w nową postać, co pod swe panowanie zagarnia.

Zapatrzyłem się tak na ów dwór, żem żebraka, który już stał przede mną drapiąc się po łysinie, nie zobaczył zrazu.

— A co mój kochany, twój Majorko? — spytałem.

— Ot... lichy wie po co, proszę pana, powlókł się do Serebrzyniec za jezioro...

— Trzeba było posłać po niego.

— Konie na paszy, Judel pobiegł po siwą klacz na rozłóg, tam ją se jak toj kazau, okiełzna i pojedzie.

— A daleko to? — spytałem.

— Ot widać kościółek za jeziorem — rzekł ręką wskazując — ale naokoło jadąc, będzie półtorej mili... tylko że Judel sprawny i siwa dobrego ma kłusa...

— Czólnem by może prędzej było?

— Czólno wziął Iwan Mielniczuk, bo ja to już o tem myślałem — odparł dziad — pojechał zastawiać więcierze, a drugiego nie ma.

Posmutniałem na tę wieść, spojrzałem w słońce, które się pochylało w stronę zachodu, obrachowałem półtorej mili Judela, powrót z Serebrzyniec, naprawę osi i ze wszystkiego mi wypadło, że w tej wiosce nocować będę musiał... Karczma była ogromna, ale gdy przyszło ją obejrzeć zbliska, nie znalazłem w niej ani kątki, w którym bym się mógł przespać, wszystkie izdebki były pozajmowane, jedna kartofel resztkami, druga przedziwem, trzecia smołą, czwarta żydowskiemi rupieciami.

— A dwór to czyj? — spytałem żebraka.

— Dwór? — powtórzył trochę zmieszany — tu nie ma dworu...

— No, a cóż tam widać pod olszyną?

— Był to dwór, ale to pustka — mruknął stary, machając ręką.

— Możeby tam znalazła się izdebka, tamże przecie ktoś mieszkać musi?...

— Ale nikt nie mieszka... ino ja czasem zajrzę — westchnął dziad — a potem, gdzieby to pan tam chciał nocować.

— Dlaczego? — spytałem zaciekawiony.

— Albo to pan nie wie, że to Krasne?

— Ja tu obcy i nic a nic nie wiem...

— Bo też nie ma co wiedzieć — odparł żebrak ruszając ramionami; w stajni panu siana pościelą i tam się pan prześpi.

Nie udało mu się wszakże zbyć mnie tak lekko, jak mu się zdawało. Konie nadeszły, Majorka ani słysząc, ja uzbroiwszy się w cierpliwość, napoiwszy nowego znajomego, wydawszy stosowne dyspozycje służącemu, wyszedłem za karczmę na przechadzkę. Stary ów przybłęda już mnie nie odstępował, bawiąc wesoło pogadanką, która wcale przypadła mi do smaku. Dowiedziałem się już z niej był, że Paweł Żużel (tak się nazywał) rodem był z okolicy szlacheckiej, nieopodal od Krasnego; że służył dawniej w tym dworze, który teraz stał pustką, i że od lat kilkunastu wyszedł na dziadowski chleb, więcej z pobożności niż z potrzeby...

Domyślałem się jakiejś ciekawej historii o tym pustym dworze i skierowałem ciągnąc ku niemu starego Pawła. Ale jak tylko mnie zobaczył zwracającego się w tę stronę, stanął i zawołał:

— A po co pan tamtędy? jak toj kazau.

— Pójdę do dworu...

— I dałbyś pan pokój, nie ma tam nic ciekawego... droga zarosła... pustka i po wszystkim... po co? i po co?

— Właściem dlatego ciekawy, że mnie waść od niego odstręczasz — odparłem otwarcie — cóż u licha, czy mnie myślisz strachami durzyć?

— Jakimi strachami — rzekł nieukontentowany żebrak.
— Wszak ja tam sam nocuję... ale co ciekawego pustka?

Tak mówiąc szliśmy powoli, a Paweł tabakę zażywał i nosem kręcił i usiłował jeszcze zawrócić mnie ku jezioru, do kościołka, bylebym nie szedł do tego zakazanego dworu; oczywiście, że mnie to na przekór pobudziło zarosłą drogą dotrzeć do miejsca.

Nic smutniejszego nad nie wyobrazić sobie nie można. Ruina ta nie była jeszcze tak starą, by poważną się stała, ani znów tak świeżą, by jeszcze dźwignąć ją była nadzieja. Krzewy, chwasty, pokrzywy, trawy pokrywały rozgrodzony dziedziniec; budynki waliły się wszystkie. Sam dwór trzymał się tylko jeszcze, ale drzwi główne płotem zasunięte, już się były wypaczyły ze ścianą, która groziła upadkiem... Nigdzie śladu mieszkania, nigdzie znaku dozoru i pieczy... Poza dworem był stary, zdziczały ogród dzikimi malinami w pas zarosły; a że przezeń ścieżka jakaś prowadziła z dziedzińca, poszedłem nią zamyślony.

O kilkanaście kroków wśród gąszczy, osłonią lipami i świerkami, ujrzałem szarą, ale porządnie utrzymaną kapliczkę, której drzwi stały zamknięte. Tu widać było rękę ludzką i staranie. Paweł, który szedł za mną, mrużąc niezrozumiale, zbliżył się, gdy mnie aż tu docierającego zobaczył, nic nie mówiąc dobył klucza i drzwi nim otworzył. Weszliśmy w milczeniu do wiejskiego tego kościołka, bardzo starannie utrzymywanego, ale na wstępie uderzył mnie widok całkiem niespodziewany. Na samym środku, na czterech cegiełkach, stała prosta, sosnowa trumna, nadzwyczaj wielka i długa. Paweł przodem wszedłszy, szybko pokląkł i począł się modlić, ja też odkryłem głowę i schyliłem czoło, oka nie mogąc oderwać od tej tajemniczej trumny. Z pozoru jej widać było, że nie dziś tu postawioną została, drzewo bowiem przybrało tę barwę szarą, martwą, którą się po latach dopiero okrywa, i znaki czarne, narysowane na wieku, spelzły tak, że ledwie ich dostrzedz było można.

Kapliczka wcale na smętarzową nie przeznaczona, wśród ogrodu, z trumną olbrzymią obok spustoszonego dworu, domyślać się kazała tajemniczej jakiejś historii. Toteż, gdy po chwili modlitwy powstał żebrak i wyszliśmy z nim oba, znów ścieżką wracając ku domowi, począłem go naglić pytaniami, aby mi wytłumaczył co widziałem.

Wzdrygał się długo i opierał, wymawiał, alem go nareszcie skłonił do wypowiedzania mi historii, którą tu w niczem nie zmieniając powtórzę.

II.

Lat temu kilkadziesiąt, w Krasnem mieszkał Samuel Hawnul, przybyły z kądś od Wilna aż, który wieś tę nabył od spadkobierców Kraśniańskich, rodziny wygasłej zupełnie, a od wieków tu niegdyś zamieszkałej. Posiadała ona Serebrzyńce, Krasne, Obody, Smolne i przysiółek Żabie, co razem ogromną zajmowało przestrzeń ziemi, jakie parę tysięcy włók z okładem; ale stopniami ubożając i wyprzedając się Krasniańscy, zostali przy Serebrzyńcach tylko i Krasnem, potem i Serebrzyńce sprzedali, aż wraz z majątkością przyszło i rodzinie wygasnąć. Na wiosce tej ostatniej zostało długów dosyć, fundacji pobożnych kilka, dożywociów i ponadawanych gruntów, spadła zaś na kilkanaście głów, tak, że podzielić się nie było podobna. Ale że interesa trzeba mieć było z wielu, a Krasne już z lepszego obrane zostało i pokrajane nadaniami, o kupca nie było łatwo. Tymczasem administracje do reszty je wyniszczały, a dziedzice byliby i tanio zbyli swe prawa, gdyby się kto tylko nadarzył. Już się tu utrapienie wlekło lat kilka, gdy Samuel Hawnul zjawił się w tamtej okolicy. Nikt go tam nie znał ani wiedział skąd przybył, on sam spod Wilna się opowiedział. Był to mężczyzna niezmiernego wzrostu, olbrzym, szeroki w plecach, barczysty, karczysty, silny jak wół, z miną zawieszistą, z wąsem czarnym za ucho zachodzącym, przystojny, czarnooki, rumiany, ale ponury i straszny, nie tyle postawą i siłą, ile wyrazem oczów i ust, jakby tlejącego gniewu pełnych.

Bóg wie, co go takim uczyniło, ale nikt się z panem Samuelem zmierzyć okiem w oko, ani na słowa, ani na rękę nie mógł. Z oczów mu buchało gdyby ogniem, z ust

potokiem się łąły wyrazy, byle go podrażniono, a szabla w dłoni byłaby pewnie po staremu woła na w pół przerażała. Przyjechał najprzód do miasteczka, gdzie się w gospodzie roztasował, niby do sądu coś mając, bez dworu, z jednym człowiekiem, którego zaraz nazajutrz kędyś odprawił, i przysiadł, robiąc znajomości z palestrą. Z ludźmi był kiedy chciał, choć do rany przyłożyć i umiał ich sobie pozyskać jak nikt, rzekłbyś baranek taki potulny, taki uśmiechnięty; ale niech-że się mu kto choć lekko sprzeciwił, niech no wszedł, spojrział, a krzyknął, a o szablę dłonią brzęknął, najśmielsi bledli jak trusie. Tylko, że w początku ten jego humor się nie wydawał wcale, póki się jeszcze rozpatrywał, dowiadywał i wahał. Szukał on niby metryk i dokumentów jakichś do podniesienia spadku po Huńcewiczach, gdyż się miał z Huńcewiczówniej rodzić; ale około tego powoli chodził, i uważano, że się o majątek rozpytywał, a nareszcie otwarcie przyznał się, że mu się okolica podobała i radby tu sobie osiąść, gdyby się tak co trafiło. Naówczas pan Żyrmuński, adwokat, który trzymał interesa dziedziców Krasnego, naraił mu ten majątek. Pojechali na grunt, pan Samuel obejrzał role po gospodarstwu, mapę rozpatrzył, inwentarze pokonnotował^[3], transakcje stare i nadania nowe spenetrował, i jakoś namyśliwszy się, począł o Krasne traktować. Tamtym nieborakom tego było i trzeba, położyli łapki i zdali mu się, że ich wziął jak sam chciał, zbywając tysiąckiem jednym, drugim, skryptem, procentem itp. Tylko pana Żyrmuńskiego podobno dobrze podsmarował, bo prawdę powiedziawszy, cała rzecz w jego była rękach. Nikt do tego nie wiedział, jak się tam z sobą zgodzili, ale zaraz i przedugodne punkta podpisane

zostały pod wielką zaręką i Hawnul zadatek wyliczył, a postanowiwszy ekonoma ze swojej ręki, właśnie Pawła Żuźla, sam kędyś pojechał.

Nie było go widać blisko pół roku, ani słychu o nim, już trochę się niespokoić poczynano, gdy jednego wieczora w dziedziniec dworu zajechały dwie bryki i z pierwszej wyskoczył, co go i po nocy po wzroście poznać było łatwo, pan Samuel. Tuż za nim wysadzono z bryki kobietę, choć nie wspominał o tym wprzód, żeby miał być żonaty, widać żonę jegomości, bardzo śliczną, młodą jeszcze i powolną a delikatną.

Uderzyło to pana Pawła, że gdy nazajutrz przybyłych ludzi chciał dopytywać o swego nowego pana, już ich o świcie nie znalazł, bo wszyscy nocą poodjeżdżali, a dwie sługi, co koło jejmości zostały, tyle wiedziały co i inni; jedną przyjął Hawnul na drodze w Słonimie, drugą wywiózł z Wilna.

Hawnulowie rozgościli się na nowym swoim dziedzictwie po cichusieńku, pan Samuel wziął się do prawa naprzód, aby o nabycie ukończyć, potem żywo bardzo do gospodarki; ona zaś sama czy to chora, czy niezdarna do tego, ani się ruszyła do kobiecego w domu zarządu. Mało nawet widywano ją, bo cały czas prawie w swojej izbie zamknięta siedziała, a w sąsiedztwa nigdzie nie jeździli oboje.

Tak się to poczęło w Krasnem, gdy Paweł Żuźel pierwszy raz własne na kłapciu^[4] ziemi porzuciwszy gospodarstwo, poszedł w ekonomiczną służbę do pana Samuela.

Pan mu się mimo chmurnej krwi, dosyć jakoś podobał, bo miał i dobre przystępy fantazji, a choć czasem gdy się pogniewał, człeka zdaje się by rozdarł, bywały nań i lepsze godziny, w których szczerze to wynagradzał. To tylko jak powiadał, zawadzało panu Pawłowi zawsze, że czy zły czy łaskaw pan Samuel, nigdy się nie rozśmiał, nie pożartował, nie pobaraszkował, i choć, zdaje się, nic do szczęścia nie brakowało, bo i dostatek był i zdrowie i żonę miał potulną a wielce ukochaną przez siebie, przecież jakby tam mu kto szczęście kołkiem zabił, nie znać było po nim, żeby go doświadczał.

Kupiwszy Krasne, jak się wyżej powiedziało, rozmaitemi umowami ze spadkobiercami, powypłacawszy niektórym z nich, innych kontentując procentem, przybysz już całkiem się zajął urządzeniem majątności, i rozpoczął życie, które się niczem nie różniło od pospolitego szlacheckiego. Przecież tkwiła w nim jakby tajemnica jakaś, bo pan Hawnul od świata stronił, z bracią szlachtą żyć nie chciał i stosunków unikał, w życiu publicznem żadnego udziału mieć nie żądał, w domu nie przyjmował i sam prawie nie wyjeżdżał, chyba do kościoła w niedzielę, jejmość zaś w wielkie święta tylko i to zakwefiona, że jej twarzy z początku nie widywano. W domu nie było jednak wcale skąpo, owszem dostatnio raczej, sprzęt piękny, grosza dosyć na potrzeby, życie wygodne ale zaparte i smętne. Trafiło się li, że szlachcic do Krasnego zawędrował dla sprawy, interesu lub przypadku czy ciekawości, sam jegomość wychodził i tylko krótko go zbywał, a jejmość zawsze powiadano słabą i nigdy się obcym nie ukazywała.

Uważał pan Paweł, że nowy dziedzic choć pilno koło gospodarki chodził i miał ochotę się krzątać, ale obeznany z nią nie był, tylko ogólnie, jak u nas niemal każdy; owszem bąki strzelał w dyspozycjach takie, że czasem Żużłowi, gdyby nie respekt, rozśmiać by się zachciało; sama^[5] też ani się wmieszała do kobiecych rzeczy, zdawszy wszystko na klucznicę: motki, kury, płótno i ogrody.

Całe dni czasami pan Samuel spędzał w osobnym pokoiku z żoną na rozmowie i jakichś namysłach, naradach czy krotchwili, której dwór zrozumieć nie mógł; słyszano tylko na przemiany z izdebki, do której wchodzić bez zapukania nikomu nie było wolno, to głos żywy pana Samuela, to żalosny lub cichy i powolny głos żony jego; Bóg wie o czym gadali, ale się nagadać nie mogli. Dostrzeżono w początkach zaraz i tego, że byle zaturkotało w dziedzińcu, zrywał się niespokojnie Hawnul i biegł do okna, jakby przelękniony każdym przybywającym. Wszystko to razem wzięte, jak zrazu uderzało i naprowadzało na dziwaczne domysły, tak po chwili stawszy się chlebem powszednim, przestało zwracać uwagę.

Sąsiedzi tylko skarżyli się na dziedzica Krasnego, że im nie dopisywał, bo pociechy z niego nie mieli żadnej, najgorzej zaś pan Stefan Wilczura. Ten mieszkał w Serebrzyńcach, był wdowcem od lat dziesięciu, a że ludzi, towarzystwo, wesołość i hulankę lubił, i spodziewał się z przybyciem Hawnula pozyskać *nomine et re*^[6] sąsiada, bardzo się krzywił, gdy z nim znajomości nawet do pół roku nie zabrał.

W okolicy, ba w całym kraju na mil jakie pięćdziesiąt, znano pana Stefana Wilczurę, bo bez niego nie obeszło się ani wesele, ani pogrzeb, ani zrękowiny, ani kondescensja^[Z], ani zwada, ani zgoda. Był to jeden z tych ludzi wszystkim potrzebnych, co w każdym złym czy dobrym razie pierwsi na myśl przychodzą. Mógł już mieć podówczas lat pięćdziesiąt, ale tych na nim znać nie było, choć ich za kołnierz nie wylał. Nie wielkiego wzrostu, krępy, pniakowaty, siły żubrzej, nigdy nie był pięknym, ale twarz jego miła chwytiała za serce i szczególną władzą przyciągała ku sobie każdego. Spojrzawszy nań widziałeś od razu, że się na jego sercu nie omylisz, tak je na wierzchu trzymał.

Takich ludzi przed niedawnymi czasy jak maku u nas było, co to się z nich życie wszystkimi lało szczelinami, dziś za to nic się nie wylewa, bo pusto we środku. Pan Stefan miał wszystkie wady swojego wieku, wszystkie jego przesady, miał oprócz tego nieszczupłą garstkę swych własnych, ale i cnót obficie, co za nie z nawiązką płaciły. Kudy kiń to kozak, jak powiada ruskie przysłowie, przybłąkane do nas z Zaporozża, od niczego się nie wymówił i we wszystkim przodkował; na konia siadł aż lubo było spojrzeć, strzelał jak nikt lepiej, pił za dziesięciu i nie spał się, tylko ten miał zwyczaj, że podchmieliwszy, już bywało nic nie mówi, tylko śpiewa a śpiewa, i to własnej inwencji wierszykami, wcale zgrabnemi. Do kompromisu jedyny, bo prawo i ludzi znał na palcach, z książek go było zagadnąć — nie utknął, bo ich siła czytał, do kobiet przysiąść się umiał galante, wybić w pałasze jak palestrant lubelski, słowem i głowa tęga

i serce najlepsze, ale też szalała, że drugiego poszukać i nie znaleźć.

A choć nauki i od Pijarów był liznął i dworu u książąt Ogińskich skosztował, bo ojciec jego i rodzina z dawien dawna jeszcze od Olkienickiej^[8], ba i starzej temu domowi służyli, choć człek światowy wcale, choć wszystko wiedział co przeciw staroświecczyźnie pisano i prawiono, z ościami był starej wiary. Nie byłby za nic w świecie dnia świątecznego nie poszanował, czarownic bał się okrutnie, w gusta wierzył wszystkie, sny sobie kazał tłumaczyć, a którego dnia lewą nogą stąpił z łóżka, bał się za próg wyjść, żeby mu się co złego nie stało. W poniedziałek niczym go z domu wywabić nie było można, a feralne^[9] dni ze starego kalendarza co roku pro memoria^[10] w nowy wpisywał czerwonym ołówkiem. Szlachcic miał jedynaczkę, przy której bawiła wdowa po krewniaku jego, panu Pańczewskim z Zawilejskiego, kochał ją bardzo, ale rzadko domu pilnował, ludziom służąc i sam się bawiąc, a gdy okazji nie było, polowania zbierając.

Całe życie jednakowo chadzał i choćby do największego dworu i w największą uroczystość stroju nie zmieniał, od śmierci żony w czarnym kirze się nosząc; co mu jednak nie przeszkadzało wcale do lada ładnej gąbki śmiejącej się i czarnych oczek jak jasna świeca się palić i cholewki smalić, choć czupryna siwiała. Sławnie też, choć w tej żałobie, polskiego tańcował, zwłaszcza gdy sobie podochocił, tancerz był zawołany do innych, swoich i cudzoziemskich tańców, czy to krakowiaka, czy drabanta, czy mazura; w kozaku zaś z prysiadami równego nie miał.

Bywało go w ręce całują na pokojach u ks. Ogińskiego, żeby im to pokazał, ale nie zawsze się dał namówić. Starzy i młodzi kochali go i taką miał miłość u szlachty, że na sejmikach na rękę go nosili, a kogo im podał utrzymali każdego, ani patrząc co drudzy krzyczeli przeciw, jeśli kto śmiał przeciw Wilczurze gębę otworzyć.

Dom jego nie bardzo był uczęszczany, bo Serebrzyńce z położenia swego niedostępne, odległe od gościńców, za wodami, nie bardzo miały obfite sąsiedztwo; ale za to gdy zaprosił pan Stefan, hulano tam po tygodniu, po dwa, i wysuszano piwnice do kropli, a naówczas córkę z domu Wilczura wyprawił, żeby już nic do bankietu nie przeszkadzało.

Serebrzyńce, jak widzieliśmy, z Krasnem sąsiadowały, bo dwoma bokami gruntów opierały się o nie, i gdy w miasteczku wieść się rozeszła, że je pan Hawnul kupił, że w nich osiada, Stefan się mocno ucieszył.

— A to przecie — rzekł — pan Bóg mi sąsiada daje, będzie gdzie w słotę w mariasza pograć lub pogawędzić, będzie kogo zaprosić na wieczór zimowy i człek trochę ławy zagrzeje. Ale co to za ptasio Hawnul, coś tej familii nie znam!

Nie znali jej i drudzy, ale że tam po Litwie moc jest nazwisk różnych, nikt się temu nie dziwował.

— Może być Syruć, może być Bołtuć, może być Dziumdziul i Hawnul — rzekł ferując dekret Wilczura — pan Bóg różnie ludziom rodzić się daje, a szlachty dziwnego nazwiska przepaść.

Pilno się o niego dowiadywał Wilczura, ale daremnie, bo go ani dostąpić, ani spenetrować nie mógł. Nadybał go

w miasteczku raz i chciał tytuło sąsiedztwa zrobić znajomość, ale Hawnul tylko mu się pokłoniwszy, uszedł.

Już to wszystko i sama fizys nie podobała się jakoś Wilczurze, ale milczał.

— Chce cicho siedzieć i za piecem pana Boga chwalić, niech mu się stanie wedle woli jego, obchodziliśmy się bez Hawnulów dużo, potrafimy obejść i teraz.

Spotykali się potem nie raz i nie dwa w kościele, w miasteczku, na polu koło granic, grzecznie sobie kłaniali, a Wilczura im częściej mu w oczy zaglądał, tym gorzej ominował. Po cichu nawet zeznawał przed swoimi, że przybłądzie źle z oczów patrzy.

— Możem winien i z grzechem, że o bliźnim tak szparko się odzywam z wyrokiem, ale dalipan, z ust co się nie śmieją, z ręki co się nie otwiera, nic dobrego nie wróżę. Przecież, żeby jakie ciężkie było życie, chwila jest, że się zaśpiewać zechce.

Niepokoił go ten sąsiad tak zaszyty w izbie sam z żonką, a nie gospodarz, a nie myśliwy, i nie koniarz i nie hulaka, unikający ludzi i nie mający dla nich dobrego słowa. Od żydów, od szlachty, od Żuźla zbierał o nim wiadomości Wilczura i zżymał się, że niczego dowiedzieć nie mógł.

— Przecież — mówił — czems to żyć musi, dobra żona, ale i żona jemu i on jej dokuczy ustawiczną miłością, coś u kata ma pod wątrową, bo to bez kozery nie jest!

Kozery wszakże domacać się było trudno.

Rok cały w ten sposób upłynął, a choć ludzie oswoili się z Hawnulami, pletli na nich, to że stary w piwnicy gdzieś

pieniądze fałszywe kował, to że pokryjomu pił, to że sknerstwem się zabawiał wszetecznem, ale najwięcej w końcu to się o nim rzekło, że z ludźmi nie żyje, bo impetyk straszny i sam siebie się lęka, tak go furia unosi, byle mu kto najlżej przeskrobał. Opowiadano, że raz włościanina z Gruszej Góry, zajmwszy bydło jego na sianożęci, o mało czekaniem, z którym chodził, nie ubił, że Żuźla pchnął raz z izby tak, że nim drzwi wyłamał i inne dziwy straszne.

— A to siłacz widzę — mówił Wilczura — ale czy to już stary dąb najmocniejszy dlatego, że wielki, kto to wie, jakby się z kim małym popróbował, czyje by było na wierzchu?

W spokoju ten czas przeżywszy, już pan Stefan miał o sąsiedztwie zapomnieć zupełnie i przestać się może oń dowiadywać, gdy raz jakoś porą letnią o samym sianokosie, wpada ekonom do niego z oznajmieniem, że ludzie z Krasnego sianożęć na Pogrodziu od granicy koszą.

Pan Stefan aż się zatrząsł. — Co to jest! — zawołał — jakim sposobem, zawołaj wasan gromadę z cepami, z kijmi, z siekierami, z kosami i spędzić mi ich natychmiast. Jakim sposobem to się stać mogło? jak się ośmielili?

Historia tej sianożęci na Pogrodziu sięgała bardzo dawnych czasów, gdy Krasne i Serebrzyńce do dwóch rodzin, którym nadane zostały za Zygmunta Augusta, należały.

W nadaniu na Krasne wyraźnie powiedziano było odkąd się poczyna granica Serebrzyniecka, od kamienia na

błocie, i gdzie się ona kończy, przy barci Siemionowej, na uroczysku Wilcze pole, ale nie wyszczególniono przez jakie punkta przechodzi. Stąd od dawna spór się wyrodził, gdyż Serebrzenieccy dowodzili, że od kamienia Łycho zwanego, szła rąbież wodocięczu^[11], poza sianożęcią do barci, a Kraśniańscy przecząc temu i sianożęć sobie przyznając, za termin per quem^[12], wskazywali mogiłę z bardzo dawnych wieków, zwaną Czerczą, którą oni za kopiec graniczny podawali, łąkę sobie chcąc przywłaszczyć. O tę więc sianożęć, na której w dobry rok mogło stanąć parę stogów siana, była walka, jak gromady świadczyły, zajadła, i trafiało się, że z obu stron ludzi zabijano, do sądu z nimi się ciągnano, obdukcje^[13] napaści robiąc, pozywając się, komisje zwołując bez ustanku. A że procesowi granicznemu końca nie było, i żadna strona ustąpić nie chciała, trwało to różnie czas długi. Jednego roku chwycili siano Krasniańscy, drugiego Serebrzyńscy, obie wioski łąkę sobie przyznawały, póki wreszcie majątki te w ręce Krasniańskich nie przeszły. Pod jednym dziedzicem ucichło to naturalnie, dwór zbierał siano i zapomniano sporu; ale gromady pamięć owych walk przechowywały. Kiedy znów majątności się rozdzieliły, Krasniańscy podupadli, Serebrzyńce zaś w jednym ręku były i u silniejszego, Wilczura łąkę kosił i spał spokojnie. Pierwszego roku nawet po nastaniu w Krasnem dziedzica, skosili Serebrzyńscy, ale z jakiejś obawy stogów nie stawili, siano na brzeg wytaszczyli i do odryny schowali na swoim gruncie; myślał tedy Wilczura, że to już minęło, aż tu znać dają, że Krasniańscy mu łąkę gołą.

Zakipiała w nim krew, szablę przypasał i co było we dworze na koń wsadziwszy, sam na deresza, ekonom także, aż do kuchtów, z czym kto miał, do wioski, zwołując gromadę, po chatach, z pola.

Zebrało się tam tego dosyć, bo ludzie zawsze na taki wypadek najskorsi, a nienawiść między gromadami była taka, że się nawet nie swatali od niepamiętnych czasów, jedni drugich zowiąc cyganami, to tatarami, i zaraz to wszystko na łąkę, a przodem pan Stefan.

Krasniańscy jak tylko zobaczyli tłum, ścisnęli się w kupę, nie ustępując kroku, choć ich mniej było, podnieśli kosy i stanęli. Wilczura rozeznał między nimi Żuźla a nieco opodał po ogromnej postawie, na szkapie chudej, pana Samuela Hawnula. Nie skory będąc do gwałtu, choć też w konieczności do siły się wziąć nie wzdragał, skinął Wilczura na ekonomą, owego Pawła Żuźla, aby ku niemu podszedł, a szlachcic buty rzuciwszy i szarawary zakasawszy, przez błotko się przebrał i przyszedł.

— Co wy to najlepszego robicie? — spytał pan Stefan — czy wam się guza chce złapać, pocoście mi w sianożęć wleźli? Ruszajcie sobie a żywo, bo was strzepiemy, dyferencją-ście przypomnieli widzę, ale z tego nic nie będzie.

Paweł się w głowę poskrobał.

— Panoszkę — rzekł — to nie moja sprawa... jak pan każe, sługa musi, jam tu, proszę wierzyć, nic nie winien. Dziedzic na mapie znalazł łąkę, ludzi pytał i kosić kazał, przedstawiałem co z tego wyjść może, ale mi tylko nogą

tupnął i jeszcze przydomek dał nieładny... mówcie sobie z nim sami, jak toj kazau...

— A nuż to mu oświadczcie — rzekł Wilczura — że co mamy ludzi kaleczyć, niech się ze mną rozmówi lepiej, ot tu na hrudku, dokąd obydwaj dojechać możemy.

Ekonom tedy w poselstwie znów przez błoto na prost poszedł i odniósł co mu kazano, a pan Samuel trochę się zastanowiwszy tylko, konia spiął i na hrudek wyjechał, w czym się i Wilczura uprzedzić nie dał.

Skłonili się sobie przystojnie ale z daleka, pan Stefan aż gniewem buchając, a olbrzym ów tak się dobrze na wodzy mając, że stał gdyby panna przy ołtarzu, oczy w dół spuściwszy.

— Panie sąsiedzie — odezwał się Wilczura — a co to myślicie umarłych wskrzeszać? Kwestia o łąkę na Pogrudziu dawno nieboszczka, nie dobrze ją z grobu wywoływać.

— Mogło to być wszystko — zająkując się nieco odparł powolnie Hawnul — ale żywą ją pogrzebiono, a ja z mojej pracy i krwawego potu nic tracić nie chcę i co przez niedbalstwo antecesorów^[14] tu moich nadwreżone zostało, odzyskać powinienem.

— Ale panie sąsiedzie, zajrzyjcie ad acta! Że się waszmościowi poprzednicy wdzierali w cudzą własność, to nie racja!

— Kto się komu wdarł lis sub iudice est...^[15]

— A no to prosimy do sądu! — zawołał Wilczura — ale póki ten nie zawyrokuje, używalność za mną, dawność za mną... i z łąki fora mości dobrodzieju!

— Fora albo nie fora! — rzekł zacinając usta Hawnul, ale trzymając się jeszcze — kto kogo foruje może sam grzbietu nadstawić!

— Nie życzyłbym waszmości ze mną siłą poczynać.

— Ani ja z sobą — odparł Hawnul — bom nie przywykłem ustępować...

— I ja też, panie sąsiedzie... ale krew ludzką rozlewać dla trochy siana, nie wiem czy się godzi?

— Krew niech spada na tego co począł.

— Juścić ja nie poczynam! — krzyknął Wilczura — waćpan na mnie następujesz, bronić się muszę i bronić się będę... Łąkem kosił, koszę ją i tego roku, a chcecie się o nią rozpierać, prosimy do sądu!

Hawnul ręką machnął z dziwnym uśmiechem, oczyma błysnął i usta wykrzywił.

— Waćpan mnie nie znasz, panie sąsiedzie — rzekł mitygując się jeszcze.

— I waszeć mnie też — impetycznie zawołał Wilczura — ale tę mam i na łące i u ludzi nad waścią wyższość, że mnie i sprawę moją ludzie znają, a waści tu nikt!

— No to mnie poznacie!! — rozśmiał się Hawnul — poznacie kiedy chcecie.

— Radziśmy, aby prędzej!

Od słówka do słówka przychodziło już do przymówisk, gdy Wilczura chcąc przerwać tergiwersację^[16], która się źle skończyć mogła, zagadnął go:

— No... ustępujecie czy nie, a nie, to was ludziom spędzić każę.

— Każcie komu chcecie, a ja zrobię co się patrzy!

I z temi słowy odwrócił się i odjechał pan Samuel. Wilczura też nie czekał długo, z hrudka zjechał, na swoich skinął i Serebrzynieccy rzucili się obcesem na Kraśniańskich. Ci pierwsi impet strzymali jakoś, ale że kupa się waliła na nich, zaraz tył podawać zaczęli. Żużel widząc, że nie przelewki, drapnął, a Hawnul sam z koniem do bójki przypadłszy, gdy swoim usiłował animuszu poddać, z konia ściągniony przez chłopą, byłby może dostał co więcej, gdyby go własni ludzie nie chwycili i szamotającego się i krzyczącego nie unieśli gwałtem prawie.

Na tym się to skończyło na ten raz i zwycięstwo zostało przy Serebrzyńcach, a trawę ukoszoną wnet pochwycono, i o nią więcej sporu nie było. Ale zaraz nazajutrz dwa manifesta postąpiły o gwałt od Stefana Wilczury i od Hawnula i proces między nimi rozpoczął się formalny.

Paweł Żużel, który codziennie widywał swojego pryncypała, powiadał, że po tym wypadku, gdy do dworu powrócił, długo mowy odzyskać nie mógł, leżał jak trup blady, trzęsąc się tylko i miotając, a jejmość z wielkim lamentem około niego tańcowała. Widzieli ją ludzie gdy klęczała z rękami załamanymi, prosząc męża, żeby ustąpił pretensji, procesu nie rozpoczynał i ludzi sobie nie narażał, słyszeli jak mu coś, cała we łzach, szeptała, ale pan Samuel kiedy mu się język rozwiązał, zawołał klnąc na czym świat stał, że nie ustąpi póki żyw, a rozumu chłystka nauczy.

Caluteńką tę noc gwar i szmer słyszano w izbie sypialnej, choć ludzie nie mogli nic więcej podsłuchać, bo rozmowa stała się cichą i widocznie ze strachu, ażeby jej

ludzie nie pochwycili, w szepty prawie przechodziła. Niekiedy tylko wybuchał pan Samuel, a żona mu prośbami i pieśzczołami usta zamykała.

Przeciwnie pan Stefan Wilczura, któremu się udało na wstępie przeciwnika pokonać, powrócił do domu jak by go na sto koni wsadził, rad, że znalazł zajęcie.

— Ot przynajmniej korzyść będę miał z sąsiada — rozśmiał się, zacierając ręce — dobry proces, to nie lada zabawka, choć kieszeń suszy, ale nie daje zgnuśnić, zasnąć i zestarzeć, to się trzeba ruszać.

Oba prawie jednego dnia pojechali do miasteczka, a Samuel Hawnul udał się do Żyrmuńskiego, z którym już miał stosunki, Wilczura zaś do Filipa Turzona, głośnego prawnika, szczególnie w sprawach granicznych, bo *processus granicialis*^[17] stanowił jego specjalność.

Filip Turzon, stary wyga, głowę miał dobrą, serce poczciwe, ale jak wlaź w skórę patrona, tak w niej caluteńki mieszkał, i miał to za arynkę, że złego procesu nie ma na świecie, a wszystko dobre co do dobrego, to jest do postawienia na swoim prowadzi. Grzeczny był, unizony, słodki, kłaniający się, minę miał głupkowatą, potulną choć do rany, ale oszukiwał tą swoją pokorą i dobroduszością, bo większego filuta nadeń nie było, a gdy szło o zrobienie z muchy wielbłąda, ani się zająknął tak zawsze znalazł czem dosztukować.

W życiu codziennem Turzon był najpoczciwszym człowiekiem, ale spełniając powołanie, nie zważał na środki, byle swego dopiąć, i serce chował do kieszeni, stojąc przed kratkami. Dwóch, rzecz można było w nim ludzi, jeden zacny i prawy, drugi, dla którego, gdy się

rozmachał, nic nie było świętego. A chwyciwszy człowieka w swoje szpony, nic nie było, czem by go pożycić się nie starał. Znano też Turzona jako najniebezpieczniejszego przeciwnika i Żyrmuński, który choć z nim był źle, ale unikał antagonizmu, dowiedziawszy się kto będzie ze strony Wilczury stawał, ledwie nie do zgody namawiać miał ochotę Hawnula.

Hawnulowi ani gadaj o tym! Stuknął pięścią w stół, oczy mu zaszły krwią i zaprzysiągł się, że swojej krzywdy nie daruje, choćby Krasne całe poszło za łąkę na Pogrudziu.

Na próżno Żyrmuński, człek wystąpił i zimny, przedstawiał, że i Krasnego mogło nie starczyć, i osobą, życiem, zdrowiem może płacić będzie trzeba, Hawnul jak się zaciął, ani kroku nie ustąpił.

Proces tedy, nim siano uszło, rozpoczął się formalny; z obu stron manifesta i żałoby^[18], a sąd nakazał konportację dokumentów. Tu był sęk, bo Krasne od tylu lat zostawało w bezrządzie, że papierów nowemu nabywcy zdano mało i to tylko czego myszy nie dojadły, a mapa choć była robiona widać z czasów, gdy Krasniańscy posiadali obie wioski, nie dowodziła wcale na stronę nowego dziedzica, bo na niej łąka na Pogrudziu stała z adnotacją: „Z dawien dawna dyferencja^[19], używalność Serebrzyniecka”.

Gdy się tedy w papierach rozpatrzone, a brak dowodów ukazał, Hawnul z wielkiego impetu rzucił prawie w oczy panu Żyrmuńskiemu dokumenta i krzyknął:

— Jakeś mi to waszeć sprzedał, tak mnie teraz broń. Szukaj sobie gdzie chcesz dowodów! byle były!

Żyrmuński połknął afront, pocmokał, poskrobał się po łysinie, ale że jest zawsze modus in rebus^[20], wydobył ni to ni owo ze starych nadań, poprzeć się gotując swoje zeznaniami gromady krasniańskiej i sąsiednich, do których wcześniej zastukano.

Strona pana Samuela wskazywała granicę wedle Zygmunrowskiego nadania, dukt prowadząc od Kamienia Łycho zwanego, do barci na uroczysku Wilcze pole, ale przez mogiłę Czerczą, która wedle niej, miała być starodawnym kopcem, usypanym w czasie zjazdu na gruncie w 1611 roku, przy pierwszym sporze o łąkę i las sąsiedni między Serebrzyńcami a Krasnem; Wilczura zaś wskazywał od kamienia Łycho ruczajem rubież do zakłętego kopca i dalej do barci, dowodząc, że przeciwna strona niesłusznie mogiłę bierze za kurhan graniczny.

Sąd musiał rozkazać wizję na gruncie, dla przekonania się, czy kopiec Czerczym zwany, był czy nie mogiłą? Na tem więc chwilowo oparła się cała sprawa, a Żyrmuński nie rad nadanemu jej obrotowi, choć gromad sąsiednich wcześniej sobie zeznania urządził, z pogłosek ludu wątpił, by rozkopanie Czerczej mogiły mogło dać pomyślny wypadek.

Podanie przywiązane do miejsca od wieków, nie dozwalało wątpić, że kurhan był z czasów pogańskich mogiłą.

Przekonawszy się o tem, usiłował Żyrmuński odwlec wizję i zmienić tok sprawy, ale to było niepodobieństwem przy zabiegach Turzona.

Dzień zjazdu został naznaczony, członkowie sądu odkomenderowani, a pan Stefan Wilczura obstawał przy

prowadzeniu duktów i reduktów nie na papierze, ale wedle skazówek gromad na miejscu.

Żyrmuński, który się pryncypała obawiał, na kilka dni jeszcze przed zjazdem pobiegł do Krasnego po radę. Zastał Hawnula jak zawsze samego jednego w pierwszej izbie, bardziej jeszcze chmurnego niż kiedy, niespokojnym krokiem mierzącego pokój, ze spuszczoną głową i brwią nawisłą.

— Szanowny panie — rzekł prawnik — przybyłem ostatecznie spytać pana co robić mamy, chciałeś pan komisję na gruncie, nie taję, że ona na złe wyjść nam może. Upieramy się za kopiec uważać Czerczą mogiłą...

— Bo to kopiec graniczny!

— Dla czegoż lud mogiłą go zowie?

— Lud głupi sam nie wie co plecie.

— A jeśli się okaże mogiłą? — zawołał Żyrmuński, który był dosyć przesądny — jeśli dla płoczej sprawy naruszym spokój nieboszczyka?

— Co waćpan nazywasz płochą sprawą — ofuknął gwałtownie dziedzic Krasnego — kawał ziemi, najpiękniejsza łąka! A! nieboszczyk! — zaśmiał się dziko i błysnął wejrzeniem złowrogim — wyspał się dosyć w mogile, nie zaszkodzi mu gdy się przewietrzy...

Ten niewczesny żarcik słysząc Żyrmuński, poczuł dreszcz chodzący po skórze, pożałował, że się sprawy podjął, i że w nią rękę umoczył.

— Może to panu nie czyni żadnego wrażenia naruszać spoczynek zmarłych, ale daruj mi pan, że nie podzielam

w tym zdania jego... Mogiła dla mnie święta! a lekko prochy ludzkie poruszać... a! kto wie co z nami będzie...

— Z nami — odparł szyderczo Hawnul — alboż to waćpana obchodzi co z nim zrobią po śmierci? Mnie, przyznam się waści, wszystko jedno czy ciało rzuca pod płótem, czy je pogrzebią na święconej ziemi.

Adwokat był pobożny i wzdrygnął się na te słowa, które go przejęły strachem.

— Na miły Bóg — zawołał — co pan dobrodziej mówisz... na co wyzywasz nieszczęścia!

— Ot mówmy o sprawie — odparł Hawnul machając ręką obojętnie — choćby to była i mogiła, wątpię czyby mieli cierpliwość dokopać się do nieboszczyka; a jak kości jego nie znajdą, wygrana nasza... Ale tak źle nie sądzę! Któż-by u licha chciał się kazać pogrzebać w błocie na hrudku, bez cmentarza?

— Różnie się trafia — rzekł doświadczeńszy Żyrmuński — w starych wiekach obyczaj był różny od naszego; potem trafiały się wypadki nagłej śmierci. Pan wiesz co za podanie jest o mogile?

— Waćpan już i podanie złapałeś? — spytał Hawnul.

— Badałem ludzi, odpowiedzieli mi co od pradziadów u nich o Czerczej słyhać... wszyscy sądzą, że to mogiła pewnie.

— No! a któż w niej pochowany?...

— Pan Bóg wie, jedni powiadają, że kniaź, który się nazywał Czerniej, inni, że od imienia Czernca, który u boku jego poległ i razem z nim został pogrzebiony, mogiła miała przybrać nazwanie. Tandem historia taka...

że kniaź ów w sporze o posiadłości z sąsiadem, wyjechał na pole i gdy się kłął wywodząc granicę, od piorunu ubity został. A że z nim był Czerniec, co go do przysięgi fałszywej przywiódł, i temu niebo nie darowało. Sami chłopci, jak to naród jest ciemny — dodał Żyrmuński — plotą o bitwie w tym miejscu, po nocy stoczonej między braćmi, która była karą Bożą, za nieusłuchanie rozkazów umierającego ojca! A dosyć że unanimiter^[21] świadczą, iż to jest mogiła.

— Niech-że ich wszyscy diabli porwą razem z mogiłą i nieboszczykiem! — zawrzał Hawnul — waćpan sobie rób co chcesz... a ja od swojego nie odstępuję. Nie mamy innego sposobu ratowania się, tylko się musimy grzebać w tym kurhanie, ale że to rzecz stara i nieboszczyk zgnić musiał, któż nam dokaże, że to nie kopiec?

Żyrmuński, jako to był człek Boga się bojący i nie rad zadzierający z nieboszczykami, złożył papiery na stole, chwilkę pomyślał, pasa poprawił i rzekł zimno:

— Strona przeciwna, jakkolwiek pewna niemal wygranej, ile to z Turzona wyrozumieć mogę, gotowaby skończyć kompromisem, bo i im mogiłę kopać nie miło. Spróbujemy? Łąkę przez pół, nowe kopce posypać i spokój święty.

Pan Samuel słysząc to aż poskoczył.

— Jak mi to wać śmiesz prawić — krzyknął — co to ja dziecko? Kiedy strona przeciwna do zgody się skłania, pewnie to jest kopiec nie mogiła, u mnie wszystko albo nic, a ustąpić pókim żyw nie ustąpię...

— Chciej-że sobie waćpan innego obrońcę umówić — rzekł pan Żyrmuński — bo choćby się ze mnie miał śmiać

świat cały, ja powodem ani uczestnikiem w naruszaniu popiołów czyichś nie chcę i nie będę.

Ofuknął się srodze Hawnul na tę, jak nazywał, zdradę, ale pan Żyrmuński stanął ostro, wziął za czapkę, pokłonił się, wsiadł na wózek i pojechał.

Hawnul też zaprząc kazał i za nim do miasteczka klnąc poleciał, ale rozmyśliwszy się w drodze, kazał zajechać do dworku pana Matiasza Wiły. Człowiek ten w bardzo był złej renomie w okolicy, choć jawnie mu nic zarzucić nie było można. Pobożniejszego nadeń rzadko było znaleźć, pokory mu nikt nie odmówił, i szelmostwa żadnego palcem nie umiano wytknąć... Pletli przecież dziwy o nim, o przewrotności jego, o sprawach, których się podejmował, o fabrykacjach dokumentów o podstępnych wikłaniach stron, o sprzedawaniu aktów itp. Z tego powodu nikt Wiły nie używał, a choć mu się kłaniano z daleka, opuścili go ludzie tak, że gdyby wszedł w kompanię, gdzie kilka osób się znajdowało, jakby makiem posypał, wszelka się urywała rozmowa i po chwili kto mógł, brał za czapkę i zmykał.

Wiła żył w towarzystwie takich jak sam odrzutków i znosił to z udaną pokorą, ale z gniewem w sercu. Nie był to jeszcze człek stary, ale blady, wynędzniały i jakby zjedzony brzydkim jakimś nałogiem; trzymał się zgięty, kaszlał i nie śmiał nikomu prosto spojrzeć w oczy. Mieszkał ustronnie, w domku zawsze różnych podejrzanych kobiet pełnym, brudnym, niechlujnym i żył skapo a przecie w nędzy na oko.

Nie wiadomo jaką myślą pchnięty udał się pan Samuel do niego, ale dobrze trafił, bo Wiła w papiery nawet nie

patrząc, okazał wielką znajomość miejscowości, i nim mu Hawnul rzecz miał czas opowiedzieć, sam już stan sprawy mu wyłuszczył.

— Ja to sam — rzekł po cichu z pokorą — trochę jestem krewny Kraśniańskich, miałem dawniej w ręku ich papiery. Stan kwestii nie jest mi obcy... a co się tycze Czerczej...

— Aleć to nie jest mogiła? — zapytał Hawnul. Wiła obejrzał się, przysunął z stołkiem i rzekł cichutko:

— Owszem, mości dobrodzieju, to jest mogiła... ale to może być i kopiec.

— Jakim sposobem?

— Ale to długa historia — rzekł adwokat.

— Może o Czernym kniazium? — spytał Hawnul.

— Znam i tę — odparł Wiła — lud sam nie wie co plecie i co by miał pamiętać, to woli komponować. Rzecz się ta miała inaczej. Trzeba byś waćpan dobrodziej wiedział, że matki mojej ojciec rodził się z Huńcewiczówniej.

— Ale i ja jestem w powinowactwie z Huńcewiczami.

— I to wiem, i przez kogo nawet — z flegmą ale wzrokiem mierzając Hawnula rzekł Wiła.

Ale w tej chwili cały w ogniu zerwał się z siedzenia konsultant i zawołał:

— Skąd waćpan to wiesz?

— Niech pan niezważa, ja wszystko wiem — rzekł cicho adwokat — ale co ja wiem to jak kamień w wodę.

Na twarzy Hawnula silne znać było wzruszenie, którego długo pohamować nie mógł, drżał, bladł i wreszcie przemógłszy się, usiadł na oko spokojniejszy nieco.

— Otóż, co chciałem mówić — kończył Wiła.

Huńcewicze byli posiadaczami Krasnego lat temu dwieście, i ta nieszczęsna mogiła pokrywa nie Czercza kniazia, nie kogo innego, tylko Polikarpa Huńcewicza.

Rzecz się tak miała... Było ich dwóch braci, Paweł i Polikarp, który, jeśli się nie mylę, po matce przypadnie panu dobrodziejowi praszczurem.

Hawnul znów się zastanowił.

— Paweł i Polikarp srodze się nienawidzili, nie wiem czemu... Licho nadało jeszcze pannę Łowczankę Malinowską, o którą się oba starali... którą Polikarp sprzed nosa schwycił bratu. Stąd nienawiść większa jeszcze, codzienne waśnie i coraz sroższa braterska zajadłość i przyszło do tego, że się wyzwali na rękę i Paweł zabił Polikarpa na tym właśnie hrudku, gdzie mu usypano mogiłę, którą lud Czerczą zowie... Ale cóż, z ówczesnych wykazuje się papierów, że go we wściekłości niepojętej tak porąbał w drobne sztuki, iż gdy pogrzeb sprawić przyszło na rozdrożu, bo go na smętarz ksiądz fanatyk wziąć nie chciał, ledwie garść kostek znaleziono... Dwieście lat temu, mości dobrodzieju — dodał adwokat — i śladu trupa nie będzie... jak dziś pamięci wypadku już nie ma.

Hawnul pobladł widocznie i słowa nie rzekł, nie wiadomo co tam jeszcze rozprawiali z sobą i co uradzili, dość że Wiła podjął się sprawy, wziął ją na siebie, i pan Samuel do domu odjechał wieczorem, papiery mu zostawiwszy.

Ale czy to wiadomość, że miał naruszyć mogiłę przodka swej matki, czy inny jaki powód, znacznie mu humor

popsuł, tak, że do domu gdyby niemy powrócił, do żony nie poszedł, nawet i całą noc tłukł się bez snu jak Marek po piekle.

O całej tej historii, tyczącej się Huńcewiczów nienawiści braterskiej i tragicznej śmierci jednego z nich, nikt zdaje się, w okolicy nie pamiętał, a tradycja, jak widzieliśmy, wcale inny przypisywała początek Czerczej mogile, ale że kopiec powszechnie mogiłą zwano, wieść o rozkopywaniu go wielkie zrobiła na wszystkich wrażenie.

Pan Stefan Wilczura nawet mocno się namyślać począł i skutkiem skrupułów jego sumienia było, że począł sam nakłaniać się do zgody, obawiając się, by z przyczyny jego uporu popioły umarłego ruszone nie były. Stąd pan Filip miał polecenie do Żyrmuńskiego się udać i oświadczyć mu gotowość pojednania, co z potrzebną uczynił ostrożnością, ale jak widzieliśmy, krok ten zamiast dobrego przyjęcia, wywołał tylko ze strony Hawnuła zupełną odmowę. Całe sąsiedztwo wiedziało i to, że Wilczura od swego chciał odstąpić, byle mogiły nie rozkopywać, i że Hawnuł się na to nie zgodził, uparcie stojąc przy poszukiwaniu prawem dyferencji.

Pan Stefan czysty na sumieniu, gdy się dowiedział, że polubownie do zgody przyjść nie może, zatarł rękę, zastanowił się chwilę i rzekł:

— Ha! no, dziej się wola Boża... niech na kaziciela spokojności spadnie zgwałcenie pokoju umarłych... chce dowodu szukać w mogile, będzie go miał.

Przypisy

- [1] Tu w znaczeniu „jałowe podglebie”.
- [2] Machetes pugnax wedle ornitologii Karola Bonaparte. (P. A.).
- [3] Zanotował.
- [4] Skrawku.
- [5] Żona, pani (prowincjonalizm, częsty u Kr. w tej epoce).
- [6] Z imienia i w samej rzeczy.
- [7] Tu „ugoda rodzinna”.
- [8] Domyślne: „potrzeby”, bitwy. Pamiętne w dziejach wewnętrznych Rzplitej zwycięstwo szlachty litewskiej, pod wodzą Grzegorza Ogińskiego powstałej przeciw możnowładczej prepotencji Sapiechów (1700).
- [9] Złowróźbne.
- [10] Dla pamięci.
- [11] Tak w tekście, który uzupełnić chyba należy: „rąbież po (lub „wzdłuż”) wodocięczu” tzn. „granica wzdłuż strumyka (lub zagłębienia, którym spływała woda)”.
- [12] Punkt, przez który...
- [13] Tu „protokóły”.
- [14] Poprzedników.

[15] Sprawa nierozstrzygnięta (dosł. spór jest przed sędzią).

[16] Tu: „wykręcanie się”, bezpłodna sprzeczka.

[17] „Proces graniczny” w zabawnym makaronicznym języku sądowym.

[18] „Skargi” z rus., długo języka urzędowego na Litwie i Rusi.

[19] Różnica, spór, przedmiot sporu.

[20] Tu: „sposób wyjścia”.

[21] Jednomyślnie.

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego
wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy
kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

